

Agnieszka Kłos

;

Las zaginionych ludzi



AGNIESZKA KŁOS

**L A S Z A G I N I O N Y C H
L U D Z I**



WYDAW
NICTWO

WYDAWNICTWOJ / WROCŁAW 2023

Preludium

Polana była dziwna.

Ludzie nie chodzili na nią na grzyby, choć rosły tu kanie. Grzyby z Polany nie smakowały.

W nocy tych, którzy je zjedli, ogarniała osobliwa gorączka, rodem jak z pustyni lub tundry. Pełzało coś po ciele ludzkim: wspomnienie czy sen. Wykrzykiwali, zrywając się z łóżek, te same słowa. I chyba chcieli biec na Polanę, żeby się ich pozbyć. Ale na Polanie nie było nikogo.

Nikt więc grzybów nie zbierał, bo cała Polana była trująca.

Miejscowi mówili, że to pamiątka po tamtych ludziach, którzy musieli odjechać. Rzucili urok na jasne miejsce, które mogło stać się Polaną Miłości. Kimkolwiek byli, zabrali Polanę ze sobą, a zostawili drzewa, które szumiały po niemiecku.

To nie był niemiecki. To jidysz.

Ludzie mówili; szept grzął w piasku i ziemi, gałęziach, konarach, niebie. Nic nie przedostało się na zewnątrz. Wszystko głęboko w piasku. Wraz z kośćmi gładkie betonowe krążki. Jeden z nich wypłynął po deszczu, bo warstwy historii wynurzały się wraz z deszczem i wystawały ponad piasek.

Potem mówili leśnicy, kłusownicy i ludzie, których nikt nie słuchał. Była to druga opowieść o Jasnej Polanie, bo o pierwszej, wypowiedanej w gorączce, szybko zapomnieli.

Drzewa były.

I stały się przekleństwem; świadczyły i przeszkadzały ludziom. Wchłonęły całą opowieść i wszystkie historie, które utkwily w konarach, pod korą, w kręgach soku i cierpienia. W milczeniu, szumie. W opadłych liściach. Ale nie było nikogo, kto chciałby je przyjąć.

Reprezentacja jednego gatunku umarła i leżała teraz pod Jasną Polaną. To były ikony, które zniknęły. W milionach ziaren piasku, między korzonkami, grzybami, trawą. Na kroplach rosy jak soczewki. W gęstwinie drzew. W gałązkach, które ptaki zbierały na gniazda.

Ludzie patrzyli na drzewa i nie widzieli nic. Widzieli drzewa, nie widzieli historii. Dlatego drzewa ze złością szumiały, a grzyby ze złości truły. Ale ludzie i tak niczego nie rozumieli.

Żeby ludzie odetchnęli, drzewa musiałyby być wyrąbane, zniszczone, ścięte. Dopiero wówczas medium zniknęłoby na dobre.

Ta historia nie była nikomu potrzebna. Bo należała do ludzi, którzy wyjechali. Powinni ją byli zabrać ze sobą, a nie porzucać. Betonowe krążki, resztki i kości powinny być jechać z nimi. Bo nowi mieszkańcy tego miejsca mieli swoje problemy na ziemi, a sama ziemia nie była ich. Nowi ludzie chcieli jednego: unieobecnienia historii.

Zniszczyć, zabić, zakopać, zapomnieć.

Świadectwo

O czarnej świni na Polanie mówił w czasie przesłuchania nieletni świadek. Został on złapany przez milicję w dniu 10 stycznia 1946 roku w trakcie obławy i doprowadzony na posterunek, gdzie powiedział:

O dziesiątej wieczór posłem na teren obozu celem przypatrzenia, jak ludzie kopią złoto, i miałem równocześnie zamiar tam coś zarobić. Gdy przyszedłem, już ludzie kopali. Było tam ludzi około osiemdziesięciu. Czasami nawet specjalnie szło się ich zobaczyć: (...) poszliśmy do byłego obozu koncentracyjnego przyglądać się, jak wygląda w nocy kopanie czy raczej poszukiwanie złota przy latarkach. Na miejsce przyszedliśmy około godziny 22:00. Ja stanąłem nad pierwszą dziurą i popatrzyłem się ludziom tym, którzy kopali w kościach, zaś tych dwóch moich kolegów poszło dalej popatrzeć się. Wtem przyjechała milicja i poczęła strzelać. Ja przestraszyłem się i zostałem na miejscu, i chwycili mnie, i zabrali mnie ze sobą.

O Polanie świadek mówił, że biegała po niej czarna świnią, która wskazywała kopaczom miejsce. Milicjanci nie mogli wiedzieć, że opowieści o czarnej świni dotyczą tamtej ziemi i tamtego świata, o którym świadek dowiedział się w domu. A ponieważ nie mogli zweryfikować ludzkiej pamięci i lasu na wschodzie, zapisali trop czarnej świni w kajecie. Czarna świnią została opisana jako fenomen tropiący, szukający złota niczym trufli. W milicyjnej operacji została nazwana „psem esesmańskim”.

Las oczu

Wiał wiatr – mówił Starzec. To taki charakterystyczny wiatr ze środka lasu, świszczący, który potrafi odurzyć człowieka. Zimny, wilgotny, najpierw zwodniczo orzeźwiający, a potem odbierający wszystko. Kolejno: siłę, pewność siebie, w końcu jakąkolwiek orientację w terenie. Było ciemno. Gęsty las nie przepuszczał światła.

Drzewa były nadłamane od działań wojennych i robiły tyle hałasu, że uciekaliśmy w popłochu, sądząc, że to wyje ranne zwierzę. Pamiętam, jak ojciec podbiegł do takiego drzewa i na naszych oczach je powalił, żeby pokazać, że to ono tak hałasuje. Ale naprawdę się baliśmy. Nie wiedzieliśmy, czego możemy się w tym lesie spodziewać.

Kobiety szły głębiej, jakby nie czuły strachu. To one oswajały zwierzęta i odkrywały las, krok po kroku, łamiąc gałązki i poruszając się po omacku. W środku lasu było cicho i pusto. Ciepło. Wiewiórki witały je jako pierwsze, bo kobiety zaczęły śpiewać, żeby dodać sobie odwagi. Szły między gęstymi drzewami, zasianymi ludzką ręką, i nuciły pieśni, które zapamiętały z domów. Nikt ich nie słyszał w tej części świata. Wiewiórki schodziły z drzew i przyglądały się śpiewającym kobietom, które, schylone, szukały grzybów i czegokolwiek do zjedzenia. Przypominały tamte kobiety, i gospodarzy, i ofiary lasu. Lisy, jelenie, to wszystko stało nieopodal i przypatrywało się tym ludziom. Piękne, dostojne jelenie nie podchodziły blisko, tylko stały i patrzyły.

Zwierzęta krążyły i ludzie krążyli, każde na swój sposób. Jedynie żmije przecinały ich drogi zygzakiem i spajały obwody, łącząc te kręgi w jeden wzór widziany z kosmosu. Te leśne zwierzęta nie zrobiły nikomu krzywdy, przeciwnie, pomagały. Krzywdę robiły psy zostawione przez tamtych ludzi, którzy uciekli w popłochu. Psy dotkliwie gryzły.

Była historia o anielskich posłańcach, którzy dodali Starcowi pewności siebie, kiedy zabłądził w lesie. Otoczyli mnie pierścieniem, jakby na kształt chóru – mówił stary – i choć nie śpiewali, odnalazłem w sobie siłę, żeby wstać i szukać pomocy. Wiewiórki skoczyły na drzewa i rozpierzchnęły się, kiedy człowiek się podniósł. Zniknęły w jednej chwili między konarami i nigdy już ich nie zobaczył. Druga opowieść była smutna, bo dotyczyła ukraińskiego kolaboranta, którego zdołali schwytać. Las był wtedy jedynym świadkiem w procesie wsi i powtarzał wszystkie oskarżenia tak, że brzmiały one echem jeszcze długo po jego śmierci.

Las był niebezpieczny. Było jasne, że przetrwali w nim jedynie martwi. Dlatego nowi osadnicy poruszali się tu, jakby odkrywali pozostałości po dawnej cywilizacji. Pierwszym nawiedzonym okazał się Starzec, który wcześniej stąpał twardo po ziemi i był przewodnikiem tego stada ze wschodu. W swoich snach widział jednak duszących się ludzi na Jasnej Polanie. Najdziwniejsze było to, że do duszenia służyła zielona łąka, na której rosły zwyczajne rośliny. Ludzie drgali w konwulsjach i toczyli pianę. Sceny przypominały kadry z filmów przyrodniczych, w których lektor relacjonuje to, co dzieje się na ekranie. Kiedy przerażenie Starca sięgało zenitu, kamera pokazywała w ogromnym zbliżeniu świat roślin, najczęściej bąble zamarzniętej rosy, które wyglądały

jak stacje kosmiczne. Starzec tracił orientację i nie wiedział, gdzie się znajduje: na Jasnej Polanie czy w kosmosie.

Czasem w snach pojawiały się na Polanie ręce, same ręce, porzrucane, wbite w ziemię, jakby zasadzone. Prawie wyłącznie męskie. Z tych rąk można było wyczytać znacznie więcej niż z ciał i o tym już Starzec wiedział. Zaczynał rozpoznawać tamten świat i jego bohaterów. Zatem ręce, las rąk. A także oczy. Las oczu. Wpatrzonych w Starca, śledzących każdy jego ruch i widzących znacznie więcej, bo również myśli. Tego snu obawiał się najbardziej. Wolał już setki ciał, choćby nagich, ale nie oczy. Tylko nie to spojrzenie przed śmiercią.



WYDAW
NICTWO

WWW.WYDAWNICTWOJ.PL

cena 40 zł



Patronem medialnym
jest Radio Wrocław Kultura



Partnerem wydawniczym książki
jest Wrocławski Instytut Kultury
w ramach Wrocławskiego
Programu Wydawniczego

Wrocław
miasto spotkań

